

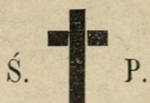


BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



S. p. Kornel Ujejski.



KORNEL UJEJSKI.

Przestało bić serce wielkie, szlachetne czyste jak lzy, które ronilo; zgasnął na wieki śpiewak natchniony, którego lutnia, aczkolwiek dawno strzaskana przypominać będzie zawsze melodyę potężnej pieśni, bo z pod strun jej wychodziły śpiewy, co hartem były dla serca. Mowa jego była często „cierpka—jak krew spiekła czarna.“

Przed czterema laty obchodziliśmy siedmiesiątą rocznicę urodzin największego z naszych poetów współczesnych. Dziś naród nasz stoi nad zamkniętą tam mogiłą poety, który już nigdy żywym słowem pieśni nie przemówi. A gdzież ta mogiła, czy w grobie zasłużonych, na który sobie długiem życiem istotnie zasłużył?...

Nie! lecz tam, gdzie serce pieśniarza bić zaczęło i przestało. Bo poeta, jak olbrzymim był w natchnieniu, tak wielkim w skromności i na kilka jeszcze godzin przed śmiercią prosił otaczających go synów, aby ciało jego spoczęło wśród tego ludu wiejskiego, który nad wszystko umiłował. Poeta pragnął, aby go do snu wiecznego kołysały te same brzozy, pod którymi niegdyś w wyobraźni chłopięcej roily się marzenia i pomysły z czasem przyobleczone w wspaniałą kształt „Skarg Jeremiego“ i „Maratonu.“ Tam się w duszy jego staczały wszystkie walki, co jak stal zahartowały młody umysł na dalszą drogę życia.

Wychowany na natchnieniach i przepowiedniach wielkich poetów, miał Kornel Ujejski ową mistyczną, głęboką wiarę w tajemniczą moc potężnej swej duszy i woli, wiarę w moc panowania nad duszą i wolą drugich; ta silna wiara rozniecała w piersi jego ów potężny ogień miłości, którą ukochał miliony, rozpaliała płomień bólu, którym również za miliony cierpieć i czuć umiał.

Odszedł od nas, śpiewaku natchniony, pamięć jednak o Tobie pozostanie na zawsze wśród narodu Twego, który zwracać będzie tęskny wzrok ku kwieciami polnem porosłej mogile, ażali ztamtąd nie doleci go smutny dźwięk czarodziejskiej Twej lutni.

Zegnamy Cię, Ostatni z wielkich wieszczów naszych, z bólem w piersi i łzą w oku, tak jak Wincenty Pol zegnał jednego z największych Twych poprzedników:

Po bożym tym znoju
Spoczywaj w pokoju
O wielki—natchniony—samotny!

W ś. p. Kornelu Ujejskim tracimy ostatniego przedstawiciela wielkiej plejady romantyków polskich. Twórczość jego poetycka przypada na okres największego rozkwitu poezji romantycznej. Wdali wprawdzie zarysowywał się już nowy kierunek poetycki, bardziej odpowiadający potrzebom ówczesnego społeczeństwa, Ujejskiego jednak nowe te drogi nie pociągały wcale: szedł dalej i do końca szlakami utartymi przez wielkich swoich poprzedników.

Mickiewicz, Słowacki i Krasiński stali już wówczas na najwyższym szczyśle swej sławy. Ich to wziął sobie za wzór i ideał twórczości poeta, od pierwszej młodości zaczytywał się w natchnione słowa wieszczów. Opanowało go też gorące pragnienie pójścia w ślady tych pieśniarzy, którzy lutnią swoją czarowali masy narodu. I aczkolwiek rodzice poety pragnęli duszę jego nastroić na ton realniejszy, bardziej do potrzeb życia codziennego zastosowany, on pozostał za-

wsze marzycielem, jak to sam przyznaje w „Podróży przerwanej“:

Chowano sokoła razem z gołębiami!
Uczono go długo a wcześniej od puchu
Nie latać za sioło, powolnym być w ruchu—
Gdy poczuł moc skrzydeł—poszedł błękitami!

Pomimo jednak tego pilnego wczytywania się we wzory wielkich swych poprzedników, wolny jest Kornel Ujejski od cech naśladownictwa; jest on *par excellence* lirykiem i tolirykiem nawet wówczas, gdy nim być wcale nie chciał, np. w poemacie „Maraton“ lub kilku mniej udatnych próbkach dramatycznych.

Urodzony dnia 12-go września 1823 r. w Beremianach w powiecie Czortkowskim w Galicyi z ojca Erazma herbu Śreniawa i matki Ludwiki z domu Wolańskiej, pierwsze wychowanie Kornel Ujejski pobierał w domu rodzicielskim. Ojciec wpajał w duszę dziecka od wczesnej młodości zamiłowanie do piękna i do pamiątek historycznych, które w postaci kurhanów tatarskich i starych ruin zamkowych gęsto rozsiane były wśród małowniczej okolicy naddniestrzańskiej. Poeta wspomina w późniejszym wieku z rozrzwiniem o tych wspólnych z ojcem wśród ruin przechadzkach, które w pamięci jego i twórczości pozostawiły niezatarte znamiona:

... Kiedy księżyc błądy
Srebrnym światłem spustoszeń pozacierał ślady,
Każemy stanąć koniom, do ruin idziemy.
Tam w zamkowym dziedzińcu siadamyna głazie,
A ojciec mi przed duszę obraz po obrazie
Ze starych kronik rzuca; i wówczas ten niemy,
Ten śpiący zamek, dla mnie napełnia się wrzawą,
Jacyś ludzie stąpają zbrojni i w żelazie,
Inni jak w sufit mieczem biją pod murawą—
Słyszę ich! drżący, ręką po mem czole wiode,
Serce mi bije głośno... Złote serce młode!

Los sprzyjał mu. W domu rodziców bawił brat cioteczny matki, Henryk Koziński, wychowaniec liceum krzemienieckiego. On to, jak sam poeta przyznaje, był duchowym jego przewodnikiem, on go natchnął tą gorącą miłością dla ludu, która go nie opuszczała już do grobowej deski, on poruszył pierwszy struny tej lutni, on nastroił ją na ton smutny. Przyczyniła się do tego również nerwowa gorączka, która powaliła na łożo młodego chłopca, zostawiając ślady w organizmie dziecięcym w formie chorobliwej niejako nadszłości. Odtąd, jak sam powiada:

Chodziłem jak w ogniu z całą swiłą marzeń,
Do nauk, do zabaw nie było ochoty,
I ciągle mnie rwało gdzieś za sielskie płoty;
Straciłem apetyt, sen, humor—poblądłem,

Opowiadania o Saragossie, o Włoszech, o Egipcie, z których każde, jak sam mówi „dorzucało po szczypcie siarki na żar duszy“ dały młodemu chłopcu poznać jakiś świat dotąd nieznanym w gorącą jego duszę—buchnął płomień.“

Do szkół normalnych uczęszczał poeta w odległym o kilka mil od Beremian Buczaczu, a następnie we Lwowie. Rodzice pragnąc czuć osobiście nad wychowaniem swych dzieci, sprzedali Beremiany i przenieśli się na stałą siedzibę do Lwowa. Lato przepędzali wraz z dziećmi w wydzierzawionym od O.O. Dominikanów Dawidowie w pobliżu Lwowa.

Nauki szkolne szły jakoś oporem przyszłemu poecie; samodzielny umysł chłopca nierad się nagałał do nudnych formułek gramatycznych i matematycznych, w obcym wygłaszanych języku.

Niwa poetycka pociągała go daleko silniej. W pierwszych tych próbach swego talentu nastroja lutnią swą na płaczliwy ton bajronowski, jak to czyniło tyłu przed nim i po nim. Były to przeważnie wiersze miłosne, rozbrzmiewające

skargą na świat i ludzi, że się nie zostało zrozumianym. Własne marzenia, pragnienia i zawody przeważnie miłosne są główną treścią powstałych w tej epoce „Zwiedlonych liści“ i „Kwiatów bez woni.“ Już jednak i w tych próbach, przebija gdzieniedzie akcent silniejszy, pozwalający się spodziewać, że lutnia ta potrafi z strun swych wydobyć tony poważniejsze, że poeta zakreślić zdoła pragnieniom swym horyzonty szersze, ogólniejsze.

I już w r. 1844 widoczna jest zmiana w kierunku twórczości poetyckiej zmarłego. Poeta rozumiał, że są bóle większe, aniżeli zmartwienie własnej duszy, że zbrodnia niemal jest roztkliwiać się nad sobą samym, gdy ludzkość upada pod brzemieniem nieszczęść. I wtedy to wstępuje w serce poety jakaś nowa wielka siła, rozplómienia go zapal, z poezji jego tryska czysty zdroj natchnienia i szerokiem płynie potokiem.

I wtedy to w poczuciu swej siły i w przeświadczeniu, że gęśl jego fałszywej dotąd wtórowała pieśni śpiewa:

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depcę cię i łamię,
Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę;

Ucichnąć każe wszystkim swoim osobistym pragnieniem i bólem, bo on dziś czuć i cierpieć musi za innych.

Zapieram siebie! wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie—jak zesłannik boski.

On dziś zapomnieć musi, że jest człowiekiem. Czuję jednak, jak ciężka walka czeka go na nowej drodze, zwraca się więc, jak we wszystkich ważniejszych chwilach życia ku Bogu z prośbą, by go umaeniał w szlachetnym tem przedsięwzięciu Jego „anicł strażniczy.“

I niechże taką zbroją mnie okuje,
Od której każda chęć ziemiańska pryśnie.
O! bo ja słaby—nieraz potrzebuję
Przyjaznej piersi, co mi skroń przycisnie,
Ciszy dla serca, snu dla moich powiek—
Daj mi zapomnąć—żem człowiek!

I wtedy to w sercu jego buchnął poraz pierwszy ten wielki płomień miłości, która pragnie ciepłem swoim rozgrzać serc miliony i poeta uczuł się miłością tą uszlachetnionym; a była ona nie marnem słowem, gotów był jej dowieść „myślą i czynem i sercem i głową, każdą chwilą życia.“ I wtedy to marzenia jego, by zostać „ulubiencem narodu“ przyoblekać się zaczęły w realne kształty. Kochał ten naród i pewnym był, że w nagrodę za dary swego serca „dogoni go miłość ludu przed lub za mogiłą.“

W owym to czasie przedsięwziął poeta w towarzystwie ojca po raz pierwszy podróż po kraju. Widok Krakowa wywarł bardzo silne wrażenie na młodocianym umyśle poety, z którego się w późniejszych latach wypowiedział w „Podróży przerwanej.“ I aczkolwiek ojciec pragnął wówczas odbyć z nim podróż za granicę, to jednak poeta zdołał uprosić go, by zamiaru tego zaniechał. Bo gdy ujrzał słupy graniczne, to tak „w duszy jego zrobiło się smutno, jakby go gwałtem kto ręką okrutną, od matczynej chciał oderwać łona.“ Poety nie nęciły nigdy podróże zagranicę i zawsze powstawał przeciw tym, których bawi to, co obce. W tejże samej „Podróży przerwanej“ tak się do nich odzywa:

Oh! was świata wędrowców prędzej niosła fala
Gdzieś pod grote błękitną lub w jamę Ringala,
Niż nad brzegi wiślane; dawny to grzech czleka,
Wszystko mu milej pachnie i świeci—zdaleka;
Ale ja od młodości inny byłem zawdy,
Blisko siebie szukałem piękności i prawdy,
I znalazłem!—i dzisiaj chwili mego śnienia
Nie oddałbym za wasze choć wszystkie wspo-
[mnienia.]

Lwów stanowił w owym czasie ognisko literackie całej Galicji. Tutaj na licznych wieczorach i zebraniach literackich miał Ujejski sposobność poznać się i zbliżyć z Wincentym Polem, Augustem Bielowskim, Leszkiem Borkowskim, Józefem Dzierzkowskim i Karolem Szajnochą, z którym go łączyły zażyłe stosunki, aż do śmierci historyka. Przed tem gronem literackim dał się Ujejski poznać z pierwszym swoim większym utworem poetyckim.

Był nim poemat p. t. „Maraton“ opiewający zaciętą walkę i zwycięstwo Ateńczyków nad przeważającymi siłami Persów. Poemat ten spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem wśród słuchaczy. Wszyscy oczarowani byli siłą uczucia i zapalem, z jakim młody bo zaledwie 21 letni młodzieniec odtworzył daną sytuację. W utworze tym nie tyle zajmowała go sama bitwa, ile usposobienie, nastrój obu ścierających się z sobą potęg. Grecy—to przedstawiciele potęgi duchowej, Persowie—brutalnej siły fizycznej. I z nierównej tej walki duch wyszedł zwycięzcą, jako przykład po wsze czasy. Nastrój ten walczących, a zwłaszcza Greków odtworzyć zdołał poeta po mistrzowsku. Konający Grek tak u poety śpiewa do szarpiących ciała jego kruków:

O szarp, szarp serce, niech już zaumiera!
O pij, pij kruk, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urosnie!

Aczkolwiek Ujejski pragnął w utworze tym wnieść się do wyżyn poety epickiego, to jednak skrzydła mu nie dopisały, bo „Maraton“ jest jak i wszystkie inne jego utwory poematem lirycznym, rozwiniętym na tle wypadku historycznego. Do tego, by go uważać można jako poemat epicki brak mu spokoju i obiektywności w sądzie, jak niemniej plastyki w obrazowaniu pojedynczych postaci. Postacie Milcyadesa, wodza Greków i Daryusza, wodza Persów wychodzą wprawdzie w utworze Ujejskiego bardzo pięknie, mimo to jednak nie dorównują plastycznością bohaterom Homerowskiemu.

Nastał smutnej pamięci r. 1846, który się krwawo w dziejach XIX w. zapisał. Bratobójcza walka, w której „syn zabił matkę, brat zabił brata“ i której niewiele przykładów spotykamy w dziejach ziemi, pograżyła w smutku i rozpacz społeczeństwo całe. Na Ujejskim bolesne te przejścia straszne wywarły wrażenie. Jaktó, ten ukochany, ubóstwiany niemal przez niego lud miałby żyć nadal z piętnem Kaina na czole.

Dla społeczeństwa polskiego była to chwila straszna. Oniemiała z bólu i rozpacz nie wiedziała, z kąd szukać ratunku; straszne zwątpienie w sprawiedliwość boską i ludzką sęczyć zaczęło jad swój i zatruwać dusze. I wtedy to poeta chwycił za lutnię i z pod strun jej wydobywać zaczął pieśni „rwące szaleń“ i pieśni te złożył w ręce ludu „jak w arkę świętą“, żeby „grały w jego natchnieniach“, żeby „pływały w jego żyłach.“ Poeta wierzył, że „łaska Boga“ jest z nim, ufał, że lud ten „zbudzi ze snu brzękiem, słowem, śpiewem,“ bo aczkolwiek „długo łzami rozdzwiewał lutnię“ to jednak teraz „wstaje strudzony ciałem, lecz duszą silny—wielki—namaszczony.“

I z tego świętego ognia natchnienia powstają „Skargi Jeremiego,“ które poeta rozpoczyna wzniosłą modlitwą do Boga.

„Skargi Jeremiego“ składały się prócz dwu pieśni wstępnych („Słowo Jeremiego“ i „Noc natchnienia“) z 12 ustępów. Rozpoczynała je, jak to już wyżej zaznaczyliśmy wspaniała modlitwa do Boga p. t. „Ojcze nasz,“ a kończył „Akt wiary.“

W r. 1847 wybrał się Ujejski po raz pierwszy zagranicę, a mianowicie do Paryża, który wówczas gościł dwóch największych naszych poetów, Mickiewicza i Słowackiego. Tu miał poeta również sposobność poznać Chopina, który czarującą grą swoją natchnął go do późniejszych tłumaczeń preludjów i mazurków.

Znajomość z twórcą „Dziadów“ i „Kordyana“ pozostawiła po sobie pamięć tak w utworach, jak i w sercu Ujejskiego. Mickiewicz, zostający wówczas pod wpływem mistycznej nauki, potrafił natchnąć Ujejskiego ideą wielkiego posłannictwa poety, on uczył go, jak ma przemawiać do społeczeństwa, by być przez nie zrozumianym. że natchnienie jego płynąć powinno nie z głowy, nie z serca, ale z wnętrzości ducha. Dla Mickiewicza żywił część największą, której wyrazem jest utwór p. t. „Wieść o Adamie Mickiewiczu.“

Słowacki uczcił młodego sługę Apollina prześlicznym wierszem, Bohdan Zaleski udzielił błogosławieństwa na drogę apostołstwa, rodacy widzieli w nim talent pierwszorzędną, godny objąć lutnię po złamanych już wiekiem i cierpieniem śpiewakach; wszystko uśmiechać się zdawało młodemu poecie.

Po uzupełnieniu wykształcenia w Sorbonie i Collège de France wraca Ujejski w maju 1848 r. przez Drezno i Pragę do Lwowa, gdzie trafia na gorące chwile bombardowania miasta. Przeniósłszy się na jakiś czas do Poznania wraca ztamtąd, gdy w kraju nastąpił już spokój zupełny.

W owym to czasie opanowywać go zaczęło poraż pierwszy zniechęcenie do życia politycznego i pragnienie usłania sobie cichego gniazda, w któremby zdala od świata i ludzi pracować mógł dla dobra społeczeństwa. Poślubiwszy hrabiankę Henrykę Komorowską, osiadł w majątku posagowym swej żony, Pawłowie, tym samym, w którym dziś spoczął na wiejskim cmentarzu.

W r. 1858 objął w dzierżawę wieś Zubrze pod Lwowem, własność gminy miasta Lwowa. Lecz i w tem cichym ustroniu dosięgła go zawiść i zła wola przeciwników jego politycznych, którzy mszcząc się za ostre jego przeciw nim wystąpienia w prasie w r. 1860, nie wahał się rzucić nań podejrzenia, że w chęci wyzyskania swej popularności dzierżawi majątek publiczny na korzystnych warunkach. Nie wiedzieli, a raczej wiedzieć nie chcieli, że rokrocznie powtarzające się kłęski żywiołowe, zaniedbana ziemia, o ruinę niemal materyjalną przyprawiły poetę, od której uratowało go jedynie zaprowadzenie gospodarstwa nabałogowego.

W obec tej aż nazbyt widocznej złej woli, nie dziwnego, że pierś poety przepelniała gorycz, że przeklinał niemal świat i ludzi, że „śmiech ich tak raził a głos tak trudił go, jak pobrzęk grobnego podzwonu.“

Zgorzkniał poeta zapragnął od świata tego oddzielić się murem chińskim, chciałby

.....mieć grodziec z twardego granitu,
By nie miał ni okien ni wchodu

I czułby się wtedy szczęśliwym „dalekim od wrzasków, od śmiechów cynicznych motłochu, dalekim od podłych zawiści, niesnasków,“ i żyłby spokojny, byle ludzi nie widział,—„bo gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę, że byłem zrodzony człowiekiem!“

I zaiste wielką musiała być boleść poety, skoro pozwoliła jemu, co miał serce tak na bóle innych wrażliwe, miotać tak na świat i ludzi skargi.

W r. 1860 rozwiązuje kontrakt dzierżawny z gminą miasta i przenosi się na stały pobyt do Cholojowa, majątku najstarszego syna swego.

Odtąd oddaje się cały na usługi ludu wiejskiego, najmilszem zajęciem jego poprawa doli tych maluczkich na duchu. I lud ten kochał i czcił go, jak ojca, czego najwymowniejшем dowodem łzy, które padły z oczu tych prostaczków na mogiłę zmarłego. I stało się według życzenia, które sam sobie w tak prostych, a tak rzeźwanych wyśpiewał słowach:

Toż tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę,
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą
Niech zwiędłego na liście zielone położą,
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Poezye Kornela Ujejskiego wyszły w dwóch tomach nakładem firmy Brockhousa w Lipsku. Składają się na nie prócz „Skarg Jeremiego,“ „Maratonu“ i „Tłumaczeń Chopina,“ także „Drobne poemata i urywki,“ „Melodye biblijne“ i „Wiersze różne.“

Ujejski próbował sił swoich także i na polu dramatycznym, jak o tem świadczą urywki, jak np. prolog napisany dla teatru lwowskiego w r. 1857 p. t. „Rozbitki,“ „Smok siarczasty“ i wyjątek z dramatu p. t. „Ostatni Buczaczy.“ W próbach tych nie wykazał jednak Ujejski zdolności dramaturga. Brak mu poczucia sceniczności i obiektywności, to też próbki te nie przysporzyły mu wawrzynów w wieńcu sławy. Czy w „Maratonie“ czy w fragmentach dramatycznych pozostał zawsze lirykiem czystej wody i jako taki zyskał sobie najszlachetniejsze w historii literatury ojczystej miejsce.

* * *

Wieść o śmierci Ujejskiego rozeszła się lotem błyskawicy po kraju, budząc powszechny żal po stracie znakomitego poety i prawego obywatela kraju. Zaraz też Rada miasta Krakowa powzięła na plenarnem zebraniu uchwałę, by zwłoki poety złożyć w grobie zasłużonych na Skałce, o czem zawiadomiono rodzinę zmarłego. W odpowiedzi na to przesłał najstarszy syn poety p. Roman Ujejski list, w którym oświadcza, iż „życzeniem ojca było zawsze, aby go pochowano na cmentarzu w Pawłowie bez grobowca. I umierając, głosem już ledwie dosłyszalnym powtarzał to samo. Czyż możemy postąpić inaczej, zwłaszcza, że ojciec pragnął również cichego pogrzebu.“

Wobec tego oświadczenia postanowiły najwyższe instytucje autonomiczne i naukowe w kraju wysłać depesze kondolencyjne, złożyć na trumnie zmarłego wieńce i wziąć udział w pogrzebie przez specjalne delegacje.

Na pierwszą wieść o zgonie poety Wydział krajowy przesłał do Pawłowa wieńce z napisem „Kraj Kornelowi Ujejskiemu“ i depesę kondolencyjną następującej treści: Żalosa wieść o zgonie Kornela Ujejskiego rozeszła się po kraju. Budzi ona żal w każdym sercu, tak, że śląc Wam wyrazy współczucia imieniem kraju, idziemy za pragnieniem wspólnem wszystkim, zrozumiałem bez wypowiedzenia. Opuścił nas bowiem Ten, który w ciężkich dla kraju chwilach ból jego koił. Czasy się zmieniły, ale czyny i słowa na skrzydłach pieśni stały się własnością narodu, który je na zawsze przechowa we wdzięcznym sercu wraz z pamięcią Twórcy.“

Wieńce złożyły nadto reprezentacje miast Lwowa i Krakowa.

Pogrzeb poety odbył się dn. 21-go września w Pawłowie przy wielkim udziale publiczności, przybyłej ze wszystkich stron kraju. Zwłoki ujęte w metalową trumnę o szklanem wieku złożone zostały na cichym cmentarzu wiejskim niedaleko od wrót.

Nad grobem przemówił pierwszy imieniem kraju, marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni. Po nim przemawiał prezydent miasta Lwowa i przedstawiciel młodzieży akademickiej, który przemówienie swoje zakończył następującymi słowami: „Śpij, utulony do snu tą ziemią, którą bardzo ukochałeś, w otoczeniu spowitych snem wiecznym chłopów, których chciałeś mieć braćmi.“

Adam Dobrowolski.

POGAWĘDKA.

Na folwarku Świętokrzyżkim powstają już mury nowego szpitala. Wznoszą się szybko i ani opamiętamy się, jak, na placach pozostałych po szpitalu Dzieciątka Jezus, zawrze ruch budowlany, utworzy się zupełnie nowa dzielnica, skrzyżują się ulice nowe i frontony gmachów kamienicznych spojrzą na nas ozdobami architektonicznymi. Oby tylko te kamienice były rzeczywiście ozdobą miasta.

Zauważyć jednak łatwo, że od lat kilku zerwaliśmy z tradycją budowania pudełek. Nawoływania pism, dbających o piękność Warszawy, nie pozostało bez skutku. Zmiana nastąpiła prędko i wpadliśmy nawet w pewną przesadę stylową. Niektóre gmachy zostały wprost przeładowane dziwnymi ornamentami, a dość jest spojrzeć na gmach, rozmiarami olbrzymi, stojący przy Alei Ujazdowskiej na rogu Instytutowej ulicy, by przekonać się o tem. Takich piękności radzibyśmy nie widzieć — przeskok z jednej ostateczności do drugiej, jak wszystkie skoki, dobrym nie jest.

Zerwaliśmy więc z szablonem, lecz oto wpadamy w nowy.

Uznano potrzebę wprowadzenia ozdób w nowobudujących się domach, ażeby nadać miastu wygląd piękniejszy.

Bardzo ładnie!

Fantazja budowniczych miała więc pole do popisu, ale twórczość nie okazała się zbyt obfitą w pomysły. Zaczynają już wzrok nasz nużyć te same pilastry, muszle i kopuły cynkowe, jakimi ozdabiają się dachy. Każda nowa kamienica bez takiej kopuły już się obejść nie może, jakby piękność budynku na niej tylko polegała. Jeżeli wzorów nowych nie możemy z siebie wydobyć, sięgnijmy do średniowiecza. Norymberga, Gdańsk a nawet i nasz Kazimierz nad Wisłą nie małą usługę nam w tym wypadku przynieść mogą.

Z radością powitaliśmy wiadomość, że pan Pantaleon Szyndler, znany artysta-malarz, otrzymał pozwolenie na otwarcie szkoły malarzkiej w Częstochowie. Szkoła ma posiadać trzy kursy. Na pierwszym—rysunek z wzorów, na drugim—z natury, na trzecim mają się uczniowie malarstwa uczyć. Czas nauki trwać ma trzy lata.

Ta szkoła w Częstochowie założona, w miejscu cudownym, dokąd rok rocznie tysiące się pątników udaje, może z czasem siewczynią stać się dobrego smaku, wyrabiając w ludzi naszym, po dzieć dzisiaj w zawiązku leżące, poczucie artystyczne. Każdy z pątników, wracając do domu po odbytej pielgrzymce, musi kupić obrazek jakiś, przedstawiający Najświętszą Panią z dzieciątka Jezus na ręku, albo Syna Bożego rozpiętego na krzyżu, albo Świętego lub Świętą. Obraz lub obrazek taki nie tylko jest miłą pamiątką bytności na Jasnej-Górze, błogosławieństwem domowym, lecz jest zarazem ozdobą ścian kmieć chaty. Kto wewnątrz jej widział, nie mógł tych ozdób przeoczyć. Aż oczy lśnią się od szafiru i czerwieni szat Świętych Pańskich, nieraz auroła nad głowami wybrańców niebieskich „szczerem“ złotem błysznie, a wszystko to w ramach i pod szkłem, ażeby muchy nie popstrzyły i pył nie poczerzył twarzy błogosławionych i świętych. Na jaskrawość barw narzekać nie możemy, ale te wszystkie postaci świętych pańskich, nie są niczem innym jak tylko „bohomasami“. To też znane jest powiedzenie „bohomas częstochowski“ jako też i „rymy częstochowski“.

Jak kancynek tak i obrazów świętych lud nasz potrzebuje. Tylko, gdy w kancynekach jest jakieś piękno, nadane im przez długi lat szereg, ten szacowny pył starości, który zetrzeć, świętokradztwem byłoby prawie: obrazy częstochowskie nie mają wcale tych szat średniowiecz-

nych, malowane są z dnia na dzień przez artystów miejscowych gwoli zadowoleniu potrzeb pątników.

Wiemy, jak jest rozwinięty w miejscach świętych handel podobnymi obrazami. W Częstochowie są malarze z dziada pradziada poświęcający się temu kunsztowi, który im zysk pewien przynosi i pewną wyższość nad otoczeniem nadaje.

Częstochowska szkoła pana Szyndlera ma tu bardzo piękny obowiązek wykształcić dobrych rysowników, malowanymi dobrze obrazami zastąpić dotychczasowe bohomas i tym sposobem rozbudzić w tłumach poczucie estetyczne. Pojmujemy trudność zadania, w początkach zawód nawet niechybny. Nielatwo oczy, przyzwyczajone do takich a takich twarzy, rysów i postaci całych, odwyknąć od nich. Przez długi czas bohomas częstochowski piękniejszy będzie od Madonn Rafaelowskich. Lecz wszelka zasługa leży w pokonaniu trudności, w wytrwałości, wcześniej czy później, dobre owoce dającej. Mamy też nadzieję, że p. Szyndler, otwierając szkołę malarzską w Częstochowie, okrom innych pobudek, miał i tę właśnie, na którą położyliśmy nacisk. Gromadka uczniów biednych, wychodzących z jego pracowni, przy coraz trudniejszych warunkach istnienia, mieć będzie w ręku uczciwy kawałek chleba. Piękno połączy się z użytecznością, a wieniec obywatelskiej zasługi spocznie na czole szlachetnego założyciela.

W tej chwili przerwałem pisanie... Przyczyną tego był lament jakiś do uszu, moich z dziedzińca dochodzący.

Wyjrzałem przez okno.

Cygan prowadził na sznurku małą łokciową, ubraną w błękitną spódnicę i kaftanik z białymi rękawami. Spiewem, do lamentu podobnym, przyzywał wszystkich mieszkańców kamienicy, ażeby przypatrzyli się figlom małpy i do czapki grosz mu rzucili.

Nie lubię małp—razi mnie w nich to podobieństwo do człowieka. Chciałem się jednak zadyszał cygana, jakim sposobem do jej posiadania przyszedł i zeszedł na dziedzińiec.

Biedne stworzenie było kupione w Odessie, dokąd przyjechało z Afryki na jakimś statku kupieckim. Dziwny smutek rozlewał się w oczach dawnej mieszkanki lasów i czarnego kontynentu a zwolniona na chwilę od figłów, pograżała się w zadumę jakąś i byłem pewny, że marzyła o palmach daktylowych, słodkim mleku kokosowych orzechów i jędrnych bananach. Nie mamy prawa wątpić o krótkiej pamięci zwierząt—zaprzeczy nam dowodów tysiąc. I w mózgach zwierzęcych spoczywa jakaś dusza, senna, nieświadoma może siebie i może więcej zagadkowa od naszej. Potworna potęga sił twórczych przejawiała się najbardziej w zwierzętach.

Małpka moja patrzyła w tej chwili na mnie dziwnie smutnymi oczyma. Bezmyślnem stworzeniem była, lecz w chwilach zadumy dostrzegłem wyraźnie myśl.

Tak! marzyła się jej podzwrotnikowa ojczyzna.

Znane wam jest „Życie i obyczaje zwierząt“ Brehma?—Wiecie więc, że małpy tęsknią i umierają z tęsknoty za leśnym królestwem swoim.

Moja małpka tęskniła.

Ze współczuciem zbliżyłem się do niej i położyłem rękę na głowie. Jakby przeczuwała przyjaciela we mnie, swoją delikatną dłonią wzięła mnie za rękę i wpatrując się coraz uważniej, cisnęła mocno. Dojrzałem w jej spojrzeniu coś, jakby wdzięczność za okazane współczucie.

Cygan pociągnął za sznurek, zmuszając do skoków, ale biedne zwierzątko nie chciało rozstawać się ze mną. Dopiero silne a bolesne szarpnięcie, zmusiło ją do opuszczenia mojej ręki; oczy jednak zwracały się wciąż do mnie, smutne, jakby przez lzy patrzące.

Śmieję się—a jednak i ja smutek uczułem.

Lecz do porządku!

Niedawno okazała się książeczka, napisana przez dr. Witolda Wikarskiego p. t. „Nasza

dzielnia straż ogniowa“. Kto chce się dokładnie zapoznać z tą pożyteczną ze wszech miar instytucją, zadość temu pragnieniu uczyni dziełko powyższe. Czarna jednak kartą w jej urządzeniu jest brak właściwej emerytury lub kasy przeznaczonej. Znajdujemy wprawdzie pozycję w okrągłej summie 2000 rs. jaką magistrat rok rocznie przeznaczają na wsparcia dla dotkniętych kalectwem strażaków, ale tyle jest wymagalnych warunków do otrzymania tych wsparć, że nikt prawie z tych rzekomych dobrodziejstw nie korzysta. Po za tem zaś nic nie zabezpiecza bytu strażaka.

Dowiadujemy się naprzykład, że taki wachmistrz Ruścicki, gdy umarł, lat dwadzieścia dziewięć na tej ciężkiej przesłużywszy służbie i zdrowie sterawszy—„wdowa po nim, kobieta chora, obarczona pięciorgiem drobnych dzieci od roku oczekuje na przyznanie jej jakiegokolwiek zapomogi.“

A służba strażacka nie jest lekka. Dzień i noc trzeba stać na posterunku, walczyć, z rozszalałym żywiołem, narażać zdrowie i życie nieraz, ratując życie i mienie innych.

To też coraz mniej znajduje się ludzi chętnych do służby w straży ogniowej. Warunki ciężkie życia, brak chleba powszedniego zmusza wielu do wstąpienia w jej szeregi, lecz porzucają chętnie przyjęty na siebie obowiązek z musu, przyłada nadziei otrzymania innego zajęcia. Wymowny przykład mamy w tem, że na 450, składających straż ogniową warszawską, wciągu dwóch lat ostatnich przyjęto przeszło 300 nowicjuszy.

Wiadomem jest, że bezpieczeństwo miast polega na wyćwiczeniu doskonałym straży. Przy warunkach zaś wspomnianych, przy zapełnianiu jej szeregów coraz nowymi ochotnikami bez ochoty—bezpieczeństwo owe problematycznym się staje. Wyćwiczonym żołnierzom ustępują ciury, smutnem zaś by było, gdyby sława straży warszawskiej do znaczenia tych ostatnich zeszała.

Dawniej warszawska straż ogniowa miała jeden bardzo ważny przywilej: strażaków zwalniano od służby wojskowej. Dziś i to się zmieniło. Dawniej silny a rostry chłop dla uniknięcia tej służby i połączonej z nią srogiej dyscypliny a często wymarszu do dalszych stron państwa—zapisywał się w szeregi strażaków; dzisiaj, gdy nie go od tego ogólnie państwowego obowiązku nie zwalnia, gdy, na wypadek nawet kalectwa w służbie ogniowej, zapomogi żadnej doczekać się nie może, nie widzi dobrej racji nastawiania łba pod spadające belki lub na ryzykowne *salto mortale* z dachu. Ażeby zaradzić złemu dr. Wikarski powiada:

„Dla tego też jedyną zachętą i bodźcem wstępowania do służby w straży ogniowej ludzi młodych, chętnych do pracy i rzeczywiście pożytecznych—na dłuższy okres czasu—jest tylko zabezpieczenie ich bytu na przyszłość przez od powiednią assekuracją od wypadków nieuleczalnej choroby, uszkodzeń ciała, kalectwa lub śmierci, w jednym z Towarzystw ubezpieczeń. Assekuracja taka będzie poniekąd kompensatą za stracony dawny przywilej uwolnienia służących w straży ogniowej od służby wojskowej.“

W dodatku porannym „Kuryera Warszawskiego“ wyczytaliśmy wiadomość, że dotychczasowy reżyser dramatu i komedyi, p. Bolesław Ładnowski podał się do dymissji.

Wyznajemy otwarcie, że wiadomością tą niemiłe zostaliśmy dotknięci. Czy wyjdzie na lepsze scenie naszej usunięcie się Ładnowskiego, człowieka ze wszech miar zasługującego na uznanie, znanego z uczciwości i rozumu? To też słuszne jest zdanie Kuryera, że Dyrekcya dymissji nie przyjmie i nadal z obowiązków reżyserskich Ładnowskiego nie zwolni.

Ale bo dziwy się dzieją w stosunku publiczności do obecnego reżysera i przysięgłych krytyków—do niego. Publiczność nie uskarża się wcale na reżysera, tylko krytyków jednych p. Ładnowski zadowolić nie może.

Dlaczego?

Czy gorzej jest teraz niż było dawniej? czy rzeczywiście scena nasza dąży do upadku? czy

nie dostrzeżliśmy w niej zmian, stanowczo ku lepszemu idących? Na to odpowiedź dać może tylko sumienne przejrzanie działalności osób, stojących na czele Teatru naszego.

Wystającym punktem tu jest reżyser—wszystkie więc pociski kierują się ku niemu, jakbyśmy nie widzieli, co się czasami za kulisami dzieje, jakie oddziaływują wpływy, które niejednokrotnie najlepsze chęci obracają wniwecz.

Zamało miejsca mamy i czasu w przygodnej pogadance naszej, by przekonać niedowiarków, że od ostatnich paru lat rządów reżyserskich s. p. Tatarzkiewicza, aż do objęcia tychże rządów przez Ładnowskiego—Teatr nasz, rzeczywistość chylił się do upadku, a doboorem sztuk stanął już był na równi z Teatrem małym. Pominieśmy, chwilowo, to, że sztuk oryginalnych nie widzieliśmy wcale—repertuar przeważnie był francuzki, a takie „Niespodzianki rozwodowe“ ledwie w teatrzykach ogródkowych miały prawo bytu. Po śmierci wyżej wspomnianego reżysera, „Rozmaitości“ zachorowały na uporczywą anemię. Nie było już nawet nowości francuzkich, odnawiano rzeczy dawne, ograne a znane jak ćwierkanie wróbla na dachach.

Z autorów naszych, królowali tylko Zalewski i Lubowski. Ale jakkolwiek mistrzostwo ich na polu komedyi zakwestyonowane nie było i nigdy nie będzie, nie na nich jednak świat się zaczął i nie na nich się skończy, zresztą oni sami nie chcieliby nawet, ażeby ich dzieła były alfą i omegą literatury naszej. Przeciwnie, jeżeli stworzyli szkołę, chcieli by mieć następców, a dbając o rozwój piśmiennictwa ojczystego, nie powinni nic mieć przeciw pojawianiu się talentów nowych. Tymczasem zastój był okrutny—oklepanki nudziły publiczność, nowych sztuk, importowanych z zagranicy nawet, nie było wcale, a cóż mówić o dramacie, który jest i będzie zawsze koroną poezji i miejsce królewskie na każdej szanującej się scenie zająć powinien?... Pamiętamy ówczesne sarkania, pamiętamy też dobrze pustki na teatralnej widowni.

Aż oto reżyserję objął Ładnowski.

Nie był to *homo novus*, znane były od dawna jego zasługi i talent aktorski, pięknym wspomnieniem zapisał się w sercach krakowian i lwowian, a i Warszawa wdzięczną mu była za pracę sumienną. Publiczność i krytycy przysięgli nominację Ładnowskiego na dyrektora sceny przyjęli z należnym uznaniem. Pamiętamy dobrze, co i jak w danej chwili mówiły pisma nasze.

Ale ot, nagle, coś takiego się stało, że czarne białem, a białe czarnem zrobiło się. Ładnowski zaczął wypadać z łaski, odmawiano mu talentu aktorskiego, zdolności reżyserskich, posądzano zaś o faworyzowanie talentów z pod ciemnej gwiazdy. Nie oszczędzono żadnego ukłucia, szpilowano w słowach i pismach, wreszcie nie na żarty huczek się podniósł, jakby rzeczywistość scena nasza stała w przededniu katastrofy hობowej.

Czy słusznem jednak były te wszystkie zarzuty?

Zaprzeczymy stanowczo!.

W objętym przez Ładnowskiego repertuarze były przerażające pustki. Legenda ludowa wprawdzie powiada, że Twardowski bicz z piasku kręcił, ale Ładnowski Twardowskim nie był i, wzięwszy piasek, czas jakiś piasek dawać musiał, dokładając sił wszystkich do wyszukiwania nowości.

Nie się od razu nie tworzy—do wszystkiego trzeba dążyć powoli i nieraz walczyć z nieprzewycięzonymi trudnościami. A tych trudności miał nowy reżyser dużo; nie wiedzieć o tem, trzeba chcieć tylko nie wiedzieć.—A jednak, mimo głosów nieprzyjaznych sobie i tysiącami różnemi borykań się z niechęciami i przeszkodami różnemi, zła wola tylko powiedzieć może, że nic się dla dobra tego naszego Teatru nie zrobiło. Repertuar nie tylko się ożywił, ale i trochę sił nowych, trochę talentów nowych powołał do życia.

Gdyby nie szczuple ramy, jakie nam są przeznaczone na kartach „Bluszczu“, wykazalibyśmy, sporą ilość sztuk nowych, które poklask na zagranicznych pozyskały scenach, a i u nas

niemałem cieszyły się powodzeniem. Jeżeliśmy nie widzieli arcydzieł, jeżeli większość nawet nie zupełnie smakoszom do gustu przypadła, mimo doskonałej zawsze gry artystów—to nie jest przecie winą reżysera. Wyboru nie miał, ani nasza ani zagraniczna literatura Molierów i Fredrów nie wydała.

Największą jednak i niezaprzeczoną zasługą Ładnowskiego, jest powołanie do pracy na niwie dramaturgii naszej talentów swojskich. Nie każda rzecz była udatna, lecz powiedzmy bez ogródek; czy—autor nasz był zbyt chętnie widziany na scenie? czy—ułatwiono mu drogę? czy—dostanie się na deski teatralne sztuk, nawet głośnych pisarzy, nie równało się przeprawie pomiędzy Scyllą a Charybdą? Miejscowa krytyka inną nawet miarę przykładła do utworów naszych pisarzy a zagranicznych. Wiadomym jest, że stempel zagraniczny olśniewa nas zawsze, że tandeta paryska zawsze pachnie, podczas gdy nasza zawsze...

Kładę kropki.

Ładnowski jednak kierował się zdaniem, że—z dwójga złego—lepiej jest mierność swojska niż cudzoziemska.

I słusznie!

Za reżyserstwa jego—nie licząc imion zagranicznych pisarzy, ładny wcale szereg polskich zobaczymy nazwisk. Gamaston, Konar, Grabowski, Szutkiewicz, Kozłowski i inni za jego reżyserstwa dopiero dali się poznać jako pisarze dramatyczni. Z wielu względów słabemi być mogły i były niektóre sztuki tych autorów,—ale atmosfera się orzeźwiła, zauważyliśmy ruch większy między młodymi dramatopisarzami, nadzieja wstąpiła w ich serca, że i dla nich jest wstęp wolny do przybytku Melpomeny. Za czyjgo to zresztą reżyserstwa dramat, ów dramat wyklety, ujrzał wreszcie światło kinkietów? Wiemy z ust własnych autora „Turnieju“ ile to było przeszkód do wystawienia tego pięknego dzieła na scenie. Dzienniki zaś nam zapowiadają Ryszarda Szekspira, ba—nawet już tragedia nie dziwi nas wcale i to polska tragedia! Ładnowski pracował sumiennie, choć nie miał poparcia ani zachęty ze strony tych, na których właśnie mógł liczyć i liczył. Nie wierzymy wieści o jego ustąpieniu, a jeśli zniechęcony zażądał dymisji—jesteśmy pewni, że główny zarząd Teatrów takowej nie przyjmie, zważając na dobro swoje i—nasze.

??

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Państwo Kamency byli stałymi mieszkańcami Szarogrodu, mieli dom parterowy przy ulicy Lubarskiej, o sześciu pokojach, które zamieszkiwali sami, oficynę zaś wynajmowali, a że nie mieli zwyczaju podnoszenia komornego, więc kto raz u nich zamieszkał, ten siedział jak u Pana Boga za piecem i jeśli się wysunął, to chyba na cmentarz niedaleki, który, o staj kilka z rogatkami, rozciągał się malowniczo na wzgórzu, opasanem srebrzystą, a wiecznie ruchliwą rzeczułką, Kamionką zwaną.

Dom państwa Kamencich stał za ogrodzeniem, w głębi nieco, frontem zwrócony do ulicy, na którą wychodził bok oficyny ze ścianą o dwóch oknach tylko. Za domem rozciągał się niewielki ogródek, w którym było trochę drzew cieni- stych, jak klon, lipy i brzozy, nie brakło też gruszy i jabłoni i dobrze zachowanego szpaleru

z pożytek i agrestu. Ścieżki wysypane były piaskiem, na których żadnej trawki nie dostrzeżę nigdy.—Przyjemnie ci było w dzień skwar- ny usiąść na ławie przy stole kamiennym, w al- tance, wyciętej w niewielkim kłębku brzóz płaczących, gdzie złota strzałka słońca wpadła cza- sem, zabłąkał się srebrny promyk książyca, albo na nitce wiotkiej maluchny pajak się spuścił i z wiatrem kołysał się długo, zanim przygodnej gałązki się nie uczeplił. Nie wiele tylko było kwiatów, a i te, przed domem rozrzucone, rosły w nieładzie. Znać niestaranna ręka zajmowała się niemi, podczas gdy pilna dłoń ogrodnika oczyszczała kłębki z gałęzi suchych, goiła rany lip starych, szarą gliną smarowała pnie drzew owocowych i nie pozwalała rozrastać się pożytecz- kowemu i malinowym krzewom. Ogród należał do pana Hipolita Kamenckiego, kwiaty—do panny Maryi, dawnej koleżanki i przyjaciółki Jadwigi.

Rodzina Kamencich składała się z głów pięciu: ojca, matki i trzech córek. Najstarszą była panna Marya, bo dwadzieścia siedem już wiosen przeżyła, o dwa lata młodszą była Helena, a Fortunatka spozierała jeszcze na świat cieka- wem podlotka okiem. Panna Marya tęskniemi oczyma wodziła po niebie, szukając gwiazdki nie rozplomienionej jeszcze na błękitach, panna Helena śmiałym pędzlem uwieczniała imię swoje na cierpliwem płótnie malarzkim, Fortunatka zaś lamala się z trudnościami koniugacji fran- cuzkich, gniewna na budowniczych wieży Babel, którzy takie pomieszanie języków na świat boży sprowadzili.

Utrzymanie całej rodziny, leżało oczywiście na pana Hipolita barkach. Rozzochrane pi- wonie, nieopielane grządki stokrotki, gałązki werbeny w ziemię wdeptane najmniejszego nie przynosiły zysku. Panna Marya dbała tyl- ko o kwiat rozmarynu w doniczce. Rósł rzeczy- wiście pięknie, coraz bujniejszymi listkami strze- lał, ale, jak dotąd, praktycznego użytku nie miał.— Domowem gospodarstwem zajmowała się niby sama pani Oktawia Kamencka z pomocą starej Praksedy, lecz—Bogiem, a prawdą—jedna Prak- seda tylko wiedziała, co się w spiżarni działo, dla czego z trzech krów, jedna przestała dawać mleka i jak się ogórki kwaszą.

Pani Oktawia poważniejsze miała zajęcie, do różnych *Towarzystw* należąc. Było *Towarzystwo Opieki* nad podrzutkami, nad sierotami niemają- cemi środków do życia, przeciwzembracze, jako też był i komitet moralności ogólnej. Znalezionego podrzutka wprawdzie zabierała policja i do miej- scowego odnosiła szpitala i tyle o nim świat już wiedział; nad sierotami pan Jezus dobrotliwy czuwał, żebracy zalegali schody dwóch kościo- łów—ale to trudno! *Towarzystwom* brakło fun- duszu, narady odbywały się każdego miesiąca, ale zebrania rozwiązywał głos przewodniczącego:

— Panowie i panie! z powodu braku środków, rzecz odkładamy na posiedzenie następne.

Lecz nagadano się do woli, a preferans z ko- ciołkiem kończył narady.

W rozkwicie było *Towarzystwo moralności ogólnej*. Członkowie zawsze bywali w komple- cie, przestępców różnych kategorii nie zliczył- byś na palcach, do rzędu ich nieraz najbliższy sąsiedź należał, ale o tem na ucho szeptano, nie- obecni za to szli pod krzyżowy ogień, domysłów było więcej niż prawdy rzeczywistej, ale rzadko kiedy opinia sędziów wychodziła za próg miej- sca obrad i karała winowajców, niewiedzących nic o gromach miotanych. Najbardziej byli po- tępiani kawalerowie, zapisujący się na stałe do celibatu—i panny, obdarzone przez naturę uro- kiem, pociągającym młodzież. W *Towarzy- stwie* tem najczynnijszymi były matki, których córki z roku na rok rutkę siały—odpalantowani kawalerowie, chcący się zemścić za afront dozna- ny, i w ogóle ci, którzy nie wiedzą na co ich Pan Bóg stworzył.

Pani Oktawia nie od razu przystąpiła do to- warzystwa, lecz wtedy dopiero, gdy Helenka dwudziestu pięciu, a Marynia dwudziestu sie- dmium lat doszła; gdy młodzież dziarskie wybija- ła holupce w salonie mieszkania państwa Ka- menckich, ale ostatecznie jeden na lewo, drugi

pierwszorzędną rolę; po królestwie oręza zaboru i bogactwa przyszła kolej na królestwo ducha.

Przedstawiwszy w dalszym ciągu smutne położenie, w jakim obecnie znajduje się królestwo włoskie, dzięki swemu rządowi, przeprowadza poeta - mówca porównanie położenia obecnego z położeniem w owej epoce, w której barbarzyńcy, najechawszy zbrojnie półwysep Apeniński zniszczyli wszelkie ślady myśli i piękna. Dzisiejsi barbarzyńcy są jednak zdaniem jego, daleko gorsi, nie posiadając bowiem ślepej, wielkiej, niepohamowanej siły tamtych, podkopują i niszczą wszystko podstępna, podziemną robotą. „Losy Włoch związane są nierozłącznie z losami piękna, za którego materyę oddawna bywają uważane, — wołał w końcu swego przemówienia: — a cóż zrobili ludzie zarządzający państwem w ostatnich 30 latach dla piękna, sztuki i cywilizacji, tych najcenniejszych naszych skarbów narodowych, tej wyższej strony umysłu włoskiego?”

Aczkolwiek całe Włochy rozentuzyazmowane ogniem przemówieniem swego poety-pośła nadały mu przydomek „przedstawiciela piękna,” to jednak większość prasy włoskiej zapytuje nie bez słuszności, kto ostatecznie wpłynie na kogo, czy „przedstawiciel piękna” na parlament, czy też ten ostatni na „przedstawiciela piękna?” Pytanie to przyszłość tylko jest w stanie rozstrzygnąć.

Sprawa znanego agitatora galicyjskiego, ks. Stojalowskiego rozstrzygana była na jeneralnym posiedzeniu Inkwizycji dn. 16-go czerwca b. r. Na mocy orzeczenia powołanej kongregacji, ekskomunika odnosi się tylko do samego ks. Stojalowskiego, a nie spada, jak to bywa w niektórych wypadkach, także na tych, którzy mają z nim styczność, lub czytają jego pisma, dotyczące sprawy, za którą został ekskomunikowany.

Coś się popsulo w S. Marino, małej rzeczpospolitej położonej w środku Włoch, niedaleko od Adryatyku, w sąsiedztwie Pesaro i Rimini. Lilipucie to państewko, schowane między górami, ma swego konsula z siedzibą w Rzymie i zachowuje wszelkie pozory niezależności. Rządy rzeczpospolitej sprawują dwaj urzędnicy, noszący tytuł kapitanów-rejentów i rada złożona z 60 osób, w której skład wchodzi po 20 przedstawicieli szlachty, miast i rolników. Otóż i w małym tem państewku ogólny prąd polityczno-społeczny daje się odczuwać, bo socjaliści żądają głosowania powszechnego, a nadto radykalnych zmian w zarządzie. Jest jednak uzasadniona nadzieja, że burza ta „w szklance wody” nie zamąci spokoju Europy... Kapitanowie-rejenci, piastujący urząd swój z wyboru tylko przez pół roku otrzymują 150 lirów pensji miesięcznej i pewną skromną sumę na wydatki reprezentacyjne. Obecnie urzędy te spoczywają w rękach adwokata i rolnika. Rzeczpospolita S. Marino utrzymuje z Włochami stosunki przyjacielskie.

Rok obecny słusznie nazwać można rokiem kongresów. Przed niedawnym czasem odbył się kongres katolików włoskich w Wenecyi, obecnie podobny odbywa się Medyolanie. Sfery antyklerykalne przygotowują się znowu do uroczystego obchodu dn. 20-go września, jako rocz-

nicy zaboru Rzymu. Dzień ten stanowi święto narodowe i jako taki obchodzony bywa na całym półwyspie.

W samym Rzymie przy bramie „Pia” obchód ten ograniczy się do rozmiarów bardzo skromnych.

Dnia 8-go września był Neapol widownią wielkiej uroczystości. Dzień ten miasto obchodzi odpustem na cześć Matki Boskiej di Piedigrotta.

Za czasów Burbonów sam król brał udział w uroczystości; wśród salw działowych z okrętów wjeżdżał w wspaniałej karecie, zaprzężonej w 8 koni, otoczony licznym orszakiem. Po nabożeństwie odbywała się defilada wojsk, poczem rozpoczynały się na dobre zabawy ludowe. Dziś święto to jest uroczystością czysto ludową, a połączony z niem jest konkurs na pieśń, który corocznie przynosił jakiś nowy, ładny utwór; nie było ich wprawdzie wiele, ale były ładne jak np. „Fenesta che lucive, Te voglio ben assaje,” „La bella Sorrentina” i t. d. Dziś i pod tym względem widoczna jest zmiana na gorsze, pieśni namnożyło się mnóstwo, ale jakżeż one różne od dawnych.

A nagroda jest dość ponętna, wynosi bowiem 1,500 lirów, nie żal więc i trudu.

Rzym wysłał na uroczystość dwa specjalne pociągi, wiozące około 15 tysięcy podróżnych.

Na listopad zapowiedziane zostały dwa konsystorzce watykańskie, jeden tajny z allokucją papieżką i prekonizacją biskupów, drugi publiczny, na którym czterech mianowani na wiosnę b. r. kardynałowie cudzoziemcy otrzymają z rąk Papieża kapelusze kardynalskie.

Liczba kardynałów wynosi obecnie 60. Wkrótce spodziewane są nominacje nowych kardynałów. Z liczby 60 żyjących, pięciu tylko jest mianowanych przez Papieża Piusa IX, między tymi ks. Kardynał Ledóchowski.

Przy kościele N. M. Panny *del Pascolo ai Monti* nastąpi niebawem, otwarcie dawnego kolegium rusińskiego, które przez pewien czas połączone było z kolegium greckim. Sprawa przywrócenia wzmiankowanego kolegium toczy się już od dwóch lat i byłaby prawdopodobnie nie doszła do skutku, gdyby nie hojna ofiara cesarza austriackiego Franciszka Józefa, który przez złożenie stu tysięcy guldenów umożliwił restaurację zniszczonego bardzo gmachu kolegium. Kolegium to założone zostało w r. 1845 staraniem nuncjusza wiedeńskiego Altieri'ego i pani Kaboga z domu hr. Potockiej, z pierwszego małżeństwa Uruskiej. Aktu otwarcia dopełnił wówczas ks. Jelowicki. Po r. 1850 kolegium połączyło się z kolegium greckim i teraz dopiero otwarte zostanie jako samodzielne.

Z powodu szczęśliwego ocalenia króla Humberta podczas zamachu Acciarita, poleciła królowa Małgorzata wykonać srebrny medalion, ładnie rzeźbiony, zawierający relikwie św. Całunu i zawiesić go jako votum dziękczynne w kościele św. Całunu w Turynie. Aktu tego dopełnił z polecenia królowej kapelan nadworny kwirynału, msgr. Anzino. W tymże kościele znajduje się już jedno votum królowej, złożone po zamachu Passananta w Neapolu.

Piotra Mascagni'ego, znanego autora opery „Cavalleria rusticana,” obecnie dyrektora konserwatorium imienia Rossini'ego w Pesaro prze-

śląduje plotka. Przed niedawnym czasem piśma przyniosły wieść, jakoby zamierzał ustąpić z stanowiska dyrektora konserwatorium, obecnie rozeszła się pogłoska o zamachu samobójczym młodego kompozytora.

Zródła pierwszej plotki szukać należy w tem, że żona kompozytora była dawniej chórzystką, i z tego powodu damy z Pesaro nie uważały za stosowne wchodzić z nią w stosunki towarzyskie. Na obiedzie wydanym przez konserwatorium na cześć pewnego wysokiego dygnitarza, pięć piękną reprezentowała jedna tylko pani Mascagni. Ztąd obraza, której skutkiem miało być podanie się Mascagni'ego do dymisji. Co do drugiej plotki, to wyległa się ona z krążącego opowiadania, jakoby cyganka przepowiedzieć miała w młodości Mascagni'emu, że w 40 roku życia geniusz go opuści. No i chwycił za rewolwer, lecz po namyśle schował go do szuflady.

W Wenecyi doznała bardzo życzliwego przyjęcia nowa opera kompozytora Antoniego Smergli p. t. „La Falena,” osnuta na tle legendy średniowiecznej. Główną rolę śpiewał tenor Garulli.

W teatrze medyolańskim „dal Verme” rozpocząć ma sezon jesienny panna R. Pinkertówna „Lucyą z Lammermooru.” Obok niej występować będzie tenor Cremonini.

Ig. Dąb.

Z bieżącej chwili.

— W tych dniach wysłany został do kościoła św. Katarzyny w Petersburgu ozdobny baldachim, wykonany w tutejszym zakładzie „Magdalenek” przy ul. Żytniej. Baldachim cały urządzony z białej mory, ozdobiony haftami jedwabnymi, po rogach zaś umieszczone zostały wizerunki czterech ewangelistów również misternie wyszyte jedwabiem.

— Ministerium oświaty wyjaśniło, że prawo do tytułu nauczyciela domowego bez poprzedniego złożenia egzaminu, służy pomocnikom nauczycieli i nadetatowym nauczycielom szkół miejskich.

— W połowie października rozpoczną się w ministerium rolnictwa obrady specjalnej komisji w sprawie organizacji wyższego wykształcenia rolniczego dla kobiet.

— Pani Lipińska, która przed 16 laty otworzyła w Wilnie zakład rękodzielniczy dla kobiet, rozpoczyna w październiku wykłady sztuki kulinarnej. Kurs nauk trwać będzie dwa miesiące.

— Panna Adela Koziolkiewiczówna uzyskała pozwolenie władzy naukowej na otwarcie w Hrubieszowie dwuklasowej pensji żeńskiej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkuś 4 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu*, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: S. p. Kornel Ujejski, przez Adama Dobrowolskiego (z portretem). — Pogawędka, przez ?? — Kazimierz Gliński. Wróci Powieść. (dalszy ciąg). — Z Rzymu, przez Ig. Dąb. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkuś 4. — Przegląd mód. 41 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 17 Сентября 1897 г.